**Dawne Mościce z pamięci mieszkańców. Z ks. prof. Michałem Hellerem rozmawia Monika Faron, podkast 10.**

**Podkasty nagrane w ramach projektu „Mościce mam sercu. Upowszechnianie dziedzictwa kulturowego przyfabrycznej dzielnicy Tarnowa”. Zapraszamy do odsłuchania rozmowy.**

**Spisany tekst rozmowy jest dostępny w formacie otwartym (jako dokument tekstowy).**

**Monika Faron: To wielka radość i wielki zaszczyt, że w cyklu *Mościce mam w sercu,* o swojej rodzinie, przyjaciołach domu, którzy gościli w Hellerówce, o młodzieńczych zabawach… słowem niemal o całym swoim mościckim wszechświecie, opowie wybitny kosmolog, filozof, teolog, a nade wszystko wspaniały ksiądz - profesor Michał Heller.**

Michał Heller: Witam wszystkich. Szczęść Boże! Cieszę się, że mogę mówić w Mościcach, do Mościc, do mościczan.

**MF: …i o Mościcach.**

MH: I o Mościcach.

**MF: No właśnie księże profesorze, to będzie chyba taka wyjątkowa rozmowa w tej plejadzie wywiadów, bo z reguły one dotyczą spraw bardzo ważnych, związanych z nauką, z filozofią, z teologią… A dzisiaj porozmawiamy o takich sprawach, które są uniwersalne, czyli o miejscu i czasie, w którym przychodzimy na świat, i o środowisku, w którym wyrastamy. Księdza profesora miejscem na świecie były Mościce..**

MH: Pierwsze mościckie spotkanie bardzo dobrze pamiętam. Wróciliśmy z Syberii to było samo w sobie wielkie wydarzenie dla nas, także dla nas dzieci. Miałem wtedy jakieś 10 lat, może 11. Przyjechaliśmy do Krakowa i tam zamieszkaliśmy u mojej ciotki, około miesiąca tam mieszkaliśmy.

Ojciec nawiązał kontakt z Mościcami, bo jak wojna wybuchła to opuściliśmy Mościce i ojciec po prostu wrócił do swojej poprzedniej pracy. No i otrzymał to stanowisko w Mościcach i czekaliśmy tylko na sygnał kiedy przyślą samochód żeby nas przewieźć z Krakowa do Mościc. Rzeczy mieliśmy minimalnie, bo właściwie byliśmy bardzo ubodzy, wtedy po tym przyjeździe z Rosji. Pamiętam, że rodzice przekraczając granice mieli tylko 50 rubli. No i rzeczywiście tę ciężarówkę po nasze rzeczy i po nas przysłano z Mościc, któregoś letniego dnia, to chyba była połowa wakacji wtedy, i pamiętam te jazdę do Mościc samochodem. Jak byłem małym chłopakiem, to mnie to wszystko bardzo interesowało. Droga z Krakowa do Tarnowa wyglądała zupełnie inaczej niż dzisiaj, nawet szła inną trasą, niż ta nasza „czwórka” dzisiejsza, no i tak dojechaliśmy do Mościc, było chyba letnie popołudnie, otrzymaliśmy jako mieszkanie willę przy ulicy Jarzębinowej 9. Willa oczywiście istnieje do dziś. Całą tę willę otrzymaliśmy od fabryki na zamieszkanie, z potężnym wielkim ogrodem, w środku ogrodu była sadzawka. Po tych rosyjskich doświadczeniach, gdzie rzeczywiście - według polskich standardów - żyliśmy w nędzy, nie mówiąc o tym, że bardzo często był głód, a tutaj nagle znaleźliśmy się we wspaniałej willi z ogrodem… Z moją młodszą siostrą chodziliśmy po tej willi, zwiedzaliśmy te wszystkie pokoje, zaglądaliśmy do wszystkich zakamarków, wydawało się nam, że jesteśmy w jakimś zamku, odkrywamy zaczarowany świat, potem ogród. To był niesamowity dzień. Wreszcie trafiliśmy na ogromny strych, nie pamiętam już co na nim było, ale były tam różne rzeczy. Przed nami tę willę zajmował dyrektor fabryki, Niemiec, który zarządzał fabryką podczas okupacji, więc zostały jeszcze po nim jakieś rzeczy. Myśmy nie mili nic, ani mebli, ani naczyń, a cały ekwipunek po tym Niemcu tam został. Do dzisiaj jeszcze mam jeden talerz ze swastyką, inne się wytłukły w międzyczasie, ale jeden mam. No ale naprawdę to był czarodziejski dzień, to spotkanie z Mościcami.

Hania, moja starsza siostra, zakochała się w Mościcach niesamowicie. Ona kochała te Mościce, nigdzie by się stąd nie chciała wyprowadzić, i rzeczywiście do końca życia mieszkała w Mościcach. Opuszczaliśmy Mościce przenosząc się do Tarnowa, to ona już nie żyła. To był 69 rok.

**MF: Księże Profesorze, Pani Hanna ukochała Mościce, a Mościczanie kochali panią Hanię. I wiele jest takich wspomnień osób, które ona uczyła rytmiki.**

MH: Tak, ja się z tym spotkałem, także zagranicą niekiedy po moich różnych odczytach, parę razy mi się zdarzyło, że podchodzili do mnie różni ludzie, przedstawiali mi się jako dawni uczniowie, czy uczennice Hani, no i zawsze bardzo mile o niej mówili.

**MF: Księże profesorze, to już wiemy o tym czarodziejskim dniu, jaki był cudowny i jaki to był przeskok nieprawdopodobny z tej tułaczki syberyjskiej, a potem wejście w ten dom, w tę willę która wydawała się wtedy dla was pewno pałacem…**

**Ale nim do tego doszło, nim powróciła księdza rodzina tutaj, do Mościc - to był rok 46 - to można powiedzieć, że była z Mościcami niezwykle związana. Księdza profesora tato, wybitny inżynier, był bliskim współpracownikiem Eugeniusza Kwiatkowskiego i uczestniczył przed wojną w uruchamianiu tej fabryki.**

MH: Tak i więcej jeszcze, Kwiatkowski budował także zakłady w Stalowej Woli i w Nisku, i mój ojciec brał udział też budowie tych dwóch zakładów i ja całkiem niedawno dowiedziałem się od profesora z UJ, historyka który specjalizuje się właśnie w wywózce Polaków do Rosji, na początku wojny. I bardzo dużo rzeczy powiedział także o mojej rodzinie, które gdzieś tam w archiwach powygrzebywał, że ojciec nie tylko z grupą Inżynierów mościckich, sabotowali fabrykę w Mościcach przed zajęciem jej przez Niemców, ale także to samo zrobił w Nisku. Mówili nam po powrocie, że ojciec był poszukiwany listem gończym przez Niemców.

**MF: No właśnie, być może należałoby ten watek wyjaśnić, że inżynier Kazimierz Heller, kiedy Niemcy wkroczyli do Polski, wraz z innymi inżynierami postanowił unieruchomić zakłady, Fabrykę Związków Azotowych, po to żeby jej nie przejął wróg. I w związku z tym musiał później wraz z rodziną uciekać przed Niemcami, i ta ucieczka była do Lwowa..**

MH: Tak. Ta ucieczka była gdzieś tam w stronę Lubelskiego, trochę tak zygzakiem do tego Lwowa żeśmy uciekali, ale w efekcie znaleźliśmy się we Lwowie. Lwów potem zajęli Rosjanie, no i potem nas wywieźli, i tak to było. Ojciec mi opowiadał, że ten sabotaż fabryki polegał na tym, że oni gdzieś zdemontowali katalizatory platynowe, bez których fabryka nie mogła działać, produkcja nie mogła iść, i schowali je gdzieś, zakopali. Niemcy ich podobno szukali, nie wiem czy znaleźli, czy nie, ale w każdym razie to wiem z relacji ojca.

**MF: Księże profesorze, a czy tato księdza opowiadał o tym czasie fabryki przed wojną?**

MH: Niewiele, to znaczy czasem opowiadał w rozmowach, no tego się nie dało uniknąć. Poza tym czas przedwojenny, to był też jakimś czasem zaczarowanym. Zwłaszcza w Rosji, zawsze był kontrast, ta rzeczywistość rosyjska okropna i zawsze mówiło się jak to było przed wojną. Także ten czas przedwojenny - zwłaszcza dla nas młodszych, którzyśmy tej Polski przedwojennej niewiele pamiętali, ja miałem tylko jakieś ogólne zarysy, a młodsza siostra prawie nic - to dla nas ta Polska była czymś też takim, zaczarowanym obiektem marzeń. I ojciec też różne rzeczy oczywiście opowiadał. Miał też album, który mu pracownicy fabryki ofiarowali z okazji jakiejś rocznicy czy urodzin. Taki gruby, w czerwoną skórę oprawiony album i tam były zdjęcia z budowy Mościc, jak fabryka powstawała, na kolejnych zdjęciach było widać, że jest coraz większa, no i tam były fotografie tych inżynierów, robotników. No i przy okazji oglądania tego albumu ojciec to i owo opowiadał.

**MF: Ale Księdza rodzina przed wojną mieszkała w Tarnowie, tak?**

MH: Tak. Ojciec mi mówił, że oczywiście miał ofertę, żeby zamieszkać w Mościcach. Wtedy było tak, że były te wille dla inżynierów, a bloki były dla robotników, ale ojciec nie chciał mieszkać w Mościcach ze względu na rodzinę, która była dość duża, były też moje siostry. Chciał, mieszkać w mieście, żeby dzieci korzystały z tego miejskiego środowiska. I ojciec też przed wojną utrzymywał kontakty z różnymi ludźmi spoza fabryki, nie chciał się ograniczać tylko do jednego środowiska i dojeżdżał codziennie do Mościc rowerem. O tych swoich jazdach rowerowych opowiadał. Zresztą po wojnie, jak wróciliśmy do Mościc, to odnowił niektóre znajomości z Tarnowa, m.in z panem Henrykiem Szparą. To był taki bardzo znany tarnowski, dzisiaj byśmy powiedzieli biznesmen. On prowadził handel win węgierskich. Na placu Kazimierza był taki sklep pana Lippóczego, i pan Szpara był jego wspólnikiem. I pamiętam, że po wojnie ojciec odnowił te kontakty z panem Szparą, zresztą w Tarnowie myśmy mieszkali bardzo blisko, byliśmy sąsiadami z państwem Szparami. I pamiętam nasze wizyty w tej winiarni, ja byłem mały, ale ojciec brał mnie na spacer do Tarnowa i odwiedzaliśmy pana Szparę i pana Lippoczego też. Pan Szpara podarował mu rower po wojnie, bo ojca z początku nie było stać, i tym rowerem ojciec często do Tarnowa jeździł, czasem brał mnie na ramę, i jechaliśmy do Tarnowa, bo oczywiście żadnej komunikacji, poza pociągami, nie było. Początkowo w ogóle most na Białej, ten co na Chyszów prowadzi, to był wysadzony przez Niemców. Jak myśmy przyjechali, to tam tylko kładka dla pieszych była. Także mieszkaliśmy w Tarnowie, ale kontakt z Mościcami był, a po wojnie zamieszkaliśmy w Mościcach. I właściwie ja się uważam bardziej za mościczanina, niż za tarnowianina, chociaż teraz mieszkam już w Tarnowie, od tego 69 roku.

**MF: Ksiądz profesor wspominał o tacie, że nie chciał ograniczać kontaktu do jednego środowiska. No bo powiedzmy, to był znakomity, wybitny inżynier, absolwent Politechniki Wiedeńskiej i Lwowskiej. Pracę zawodową rozpoczął w Szwajcarii, a po odzyskaniu przez Polskę niepodległości…**

MH: wrócił do Polski, bo chciał w Polsce pracować. Początkowo pracował na Śląsku, w Chorzowie. Potem dopiero się przeniósł do budującej się fabryki mościckiej.

**MF: Ale to był taki niezwykle wszechstronny intelektualista, nie tylko o zdolnościach matematycznych, ścisłych, ale także interesował się filozofią, pięknie rysował…**

MH: Tak, miał talent malarski, interesował się historią, znał języki. Także ja rzeczywiście miałem szczęście, że się w tym środowisku urodziłem i mogłem trochę przesiąknąć tą atmosferą.

**MF: A ten pobyt, już w Mościcach, czyli od 46 roku, ta willa, ulica**

**Jarzębinowa… We wspomnieniach mościczan księdza profesora rodzina postrzegana jako taka egzemplifikacja przedwojennej inteligencji, klasy, niezwykłego szacunku do ludzi i postępowania zgodnie z zasadami wiary.**

MH: Tak. Ojciec nie był jedynym tego typu człowiekiem w Mościcach, miał tu swoich kolegów, też przedwojennych inżynierów, z którymi utrzymywał stosunki. Na przykład był inżynier Jasilkowski, zresztą mieszkał na ulicy Czerwonych Klonów, ale blisko nas. On był profesorem Politechniki Lwowskiej przed wojną, bardzo wybitny człowiek, no i też wielkiej klasy. Jego żona była Szwajcarką, ale pięknie mówiła po polsku. W ogóle nie dało się odróżnić jej języka od oryginalnego polskiego. Oni się bardzo przyjaźnili. Do dziś mam taki fotel drewniany, ale bardzo wygodny, przy biurku, który jego żona ofiarowała ojcu po śmierci swojego męża, profesora Jasilkowskiego. Był też inżynier Jan Sobolewski. Też był profesorem Politechniki przed wojną, bardzo wybitna postać, i z nim się ojciec bardzo przyjaźnił. Bardzo często z ojcem odwiedzaliśmy Sobolewskich, on miał syna, który był młodszy ode mnie, też się dobrze znaliśmy, Andrzej Sobolewski. Pan Sobolewski też jest bardzo ciekawą postacią. Jak Niemcy opuścili Mościce, pod koniec wojny, to robotnicy sami wybrali pana Sobolewskiego na dyrektora fabryki, bo jeszcze Rosjanie nie weszli, a robotnicy chcieli, żeby fabryka już ruszyła. No i Sobolewski był takim naturalnym kandydatem na dyrektora. I fabryka ruszyła. Potem przyszły władze Polski Ludowej i pierwsza rzecz, to aresztowali Sobolewskiego, bo był nie przez nich wybrany, i wysłali go na Sybir, dopiero w 56 chyba wrócił. Jakiś czas po panu Sobolewskim, dyrektorem był inny inżynier przedwojenny, też przyjaciel ojca -Hugo Trzebicki. I to on właśnie zatrudnił ojca po powrocie z Syberii, i on nam tę willę przydzielił, jako mieszkanie, ale potem też Trzebnickiego usunięto z dyrektorstwa, to nie był komunista. Na jego miejsce, o ile pamiętam, został przyjęty pan Anioł, prosty robotnik, który był porządnym człowiekiem, ale bez żadnego wykształcenia. I on przez jakiś dłuższy czas pełnił funkcję dyrektora fabryki.

**MF: To wyobrażam sobie, że przy ulicy Jarzębinowej, w Waszej willi, musiały odbywać się fantastyczne spotkania i tam musiało aż kipieć od rozmów śmietanki intelektualnej**.

MH: Tak i to były na różnych piętrach te spotkania. Mianowicie przede wszystkim do ojca przychodzili przyjaciele, wtedy sobie składano wizyty. Był pan Profesor Henryk Zasada ze swoją żoną. On wykładał w IV Gimnazjum, był polonistą. Był warszawiakiem i po Powstaniu Warszawskim znalazł się w Mościcach z rodziną, i był moim nauczycielem w średniej szkole. Bardzo wybitny polonista i taka postać, która też zasługuje na pamięć w Mościcach. Rodzice często im składali wizyty, oni przechodzili do nas, i były pamiętne dyskusję pomiędzy moim ojcem a profesorem Zasadą na tematy literackie, o niektóre tematy się spierali. Wtedy wyszła książka Antoniego Gołubiewa, taka monumentalna powieść w kilku tomach „Bolesław Chrobry. Puszcza”, profesorowi Zasadzie się ona bardzo podobała, a ojciec mój krytykował, i to były przez dłuższy czas pomiędzy nimi dyskusje, którym się przysłuchiwałem.Także pierwszą taką warstwą to byli goście, którzy przychodzili do moich rodziców. Potem przychodzili koledzy Hani, ona była dużo starsza, o 8 lat.

Jej koledzy i koleżanki przychodziły do niej, był duży ogród, który też zachęcał to do takich odwiedzin młodzieżowych, z tym że jej pokolenie dla mnie się wydawało już za stare. Potem przychodzili moi koledzy, miałem kilku ulubionych, którzy często po szkole przychodzili do mnie, po prostu pobawić się. Mieliśmy różne swoje pomysły. A potem jeszcze niższa warstwa, to koleżanki mojej siostry Baśki. I nieraz, zwłaszcza w okresie ferii czy Świąt Bożego Narodzenia, to u nas świetlica była. Jeszcze mieliśmy taki duży stół, rozsuwany, też po tych Niemcach odziedziczony, to urządzaliśmy zawody pingpongowe u nas w domu. Na szczęście mieszkanie było duże, więc można było sobie na to pozwolić. Takie rozmaite zabawy były. Jeszcze może coś powiem o szkole, zaraz po powrocie z Rosji to trzeba było się zapisać do szkoły. W Rosji chodziłem do drugiej i trzeciej klasy, i po powrocie do Polski powinienem iść do czwartej…

**MF: …a poszedł ksiądz do piątej od razu, ale to na jakieś podstawie, umiejętności, wiedzy...?**

MH: Moja mama wzięła Baśkę, moją młodszą siostrę, i mnie, widocznie była umówiona, i poszliśmy do szkoły podstawowej. Wtedy kierownikiem tej szkoły był pan Cierpich i przyjął nas w swoim gabinecie. To jeszcze były wakacje przed rozpoczęciem roku szkolnego i tak po prostu z nami rozmawiał w obecności mamy. Myśmy siedzieli za stołem, i pamiętam, że zadał mi pytanie jakie państwa walczyły po jakiej stronie w czasie wojny. Polityka w u mnie w domu stale odchodziła, no to ja doskonale wiedziałem, wyjaśniłem to wszystko. Drugie pytanie jakieś było

jeszcze inne, ale już nie pamiętam o co pytał, ale też jakieś takie dla mnie oczywiste i wiem, że on wtedy powiedział:

– „Nie, no to do czwartej klasy nie pójdziesz, tylko do piątej”.

I od tego czasu się śmieję, że mam niepełne wykształcenie podstawowe.

I to samo dotyczyło mojej siostry. Ona poszła do czwartej klasy, zamiast do trzeciej, tak to było. No i tam chodziliśmy, to była taka biała szkoła, za dzisiejszym kościołem, koło toru, tylko ona była mniejsza. Potem, znacznie później została rozbudowana trochę. A potem jak skończyłem szkołę podstawową, to do liceum ogólnokształcącego. To liceum się mieściło w prawym skrzydle budynku administracji fabrycznej, w stronę Tarnowa. Szkoła średnia powstała dopiero po wojnie, mianowicie w czasie wojny proboszcz mościcki, ksiądz Indyk, współorganizował tajne nauczanie średnie. I z tego tajnego nauczania potem

powstała szkoła średnia. IV Liceum to się wtedy nazywało, czy gimnazjum, wtedy nie było różnicy między gimnazjum i liceum. I z początku mieściło się w jakiś takich barakach w tej okolicy, gdzie teraz jest szkoła chemiczna, ale już jak ja zacząłem chodzić do szkoły średniej, to ona była w skrzydle w administracji. Natomiast ta szkoła obecna, to dopiero się zaczynała budować, także tam nas czasem wyganiano na budowę, żeby tam coś pomagać, grabić coś i tak dalej. Utrzymywaliśmy bardzo żywe kontakty z proboszczem, na to rodzice zawsze kładli nacisk. Ksiądz Indyk był przyjacielem domu, często u nas bywał. Trzech księży było wtedy w Mościcach; Ksiądz Indyk, katechetą w szkole podstawowej i wikarym przy parafii był ksiądz

Marian Kuchnicki, a w szkole średniej ksiądz Jan Cierniak, wysoki duży, a ksiądz Kuchnicki mały i taki okrągły. I oni wszyscy z nami utrzymywali kontakt. Ksiądz Kuchnicki był dla mnie ważną postacią, bo on mnie przygotował do pierwszej komunii świętej, bo przecież ja nie byłem w Rosji do komunii, dopiero w piątej klasie. Tak trochę indywidualnie przygotowywał i z troską podchodził do nas. A potem ksiądz Cierniak, prowadził wtedy Sodalicję Mariańską, to było jakby takie katolickie harcerstwo, też mieli takie swoje zebrania formacyjne. Potem komuniści tego zakazali i to zostało rozwiązane, ale przez długi czas istniało i działało. Także tych trzech księży też z naszą rodziną jakoś było związanych i wywarło swoje piętno.

**MF: Ksiądz wspomniał o tych różnych pomysłach młodzieńczych, o tym domu który tętnił życiem towarzyskim, na różnych poziomach, od ojca księdza, poprzez siostrę, aż do tego młodszego pokolenia... I mówił ksiądz o zabawach, że: „*mieliśmy różne pomysły...*” i tutaj jakby usłyszałam trzy kropki, nie został ten wątek rozwinięty, a ciekawi mnie czym się młodzi chłopcy z dobrych rodzin zajmowali? Jakie mieli młodzieńcze pomysły, oprócz grania w ping-ponga na długim rozkładanym stole poniemieckim?**

MH: No różne były te pomysły, bardzo często zaczynało się od tego, że trzeba było odrobić lekcje. Ja miałem taki sposób, że jak tylko wracałem ze szkoły, to szybko odrabiałem pisemne zadania, żeby mieć święty spokój. Niektórzy koledzy potem przychodzili i po prostu odpisywali lub sobie to modyfikowali. Zresztą niektórzy byli bardzo zdolni i robili to co sami, ale było coś takiego, że nie uczyliśmy się jakoś wspólnie. Pamiętam tylko, że wspólnie tośmy się uczyli łaciny. Dlaczego? To też może jest warte opowiedzenia. Jak przeszedłem ze szkoły podstawowej do średniej to mnie się wydawało, że będzie tak samo jak w podstawowej. Ja się w podstawowej w ogóle nie uczyłem, uważałem na lekcjach i to mi wystarczyło. W domu tylko pisałem pisemne zadania, robiłem rachunki i polski. Myślałem, że tak samo będzie w średniej, a tymczasem już tak nie było. No i pierwsze półrocze dość marnie wypadło w tej szkole średniej, i zrozumiałem, że tak nie można. I zacząłem się uczyć, już drugie wyszło standardowo, dobrze. Ale z łaciną… wtedy była obowiązkowa, ja chodziłem do klasy z łaciną. No i łaciny się nie dało nauczyć tak po prostu ze słuchu, tylko trzeba było wkuć te deklinacje. Jak na pierwszy kwartał noty z łaciny wypadły

bardzo marnie, to lekarz - też przyjaciel rodziny - doktor Nowicki (jego syn Jasiek chodził do tej samej klasy co ja i przyjaźniliśmy się bardzo, a doktor Nowicki leczył całą naszą rodzinę, zresztą też chyba był jedynym lekarzem w ogóle w Mościcach wtedy) on się wtedy zdenerwował bardzo i mówi:

– „To ja was teraz nauczę łaciny!”.

I musieliśmy dwa razy chyba w tygodniu, a może i częściej, chodzić z Jaśkiem Nowickim i jeszcze chyba Marek Witkowski, taki bardzo bliski mój kolega (architekt, teraz mieszka w Warszawie, jest profesorem, teraz już pewnie emerytowanym na Politechnice Warszawskiej) chodziliśmy do doktora Nowickiego. Sadzał nas na takiej kanapie, wszystkich trzech, sam był naprzeciw, i rąbaliśmy deklinacje, bo dawniej lekarze musieli umieć po łacinie. Wszystkie recepty, wszystko było po łacinie, jeszcze po wojnie. I on nas nauczył tych deklinacji, na pamięć musieliśmy rżnąć te wszystkie dativy, akkusativy i tak dalej. No i to się bardzo opłaciło bo już w następnym półroczu mieliśmy wszyscy piątki z łaciny. I to mi zostało, bo łacinę lubię do dzisiaj.

**MF: Ale nie uwierzę, że życie po szkole ograniczało się tylko do odrabiania pisemnych lekcji i do uczenia łaciny…**

MH: Nie, to odrabianie lekcji było całkiem marginesowe i nieważne.

**MF: No właśnie. To co było ważnego?**

MH: Na przykład. Miałem taki okres dużej przyjaźni `z Markiem Witkowskim, o którym przed chwilą wspomniałem. No i myśmy się zabawiali w sposób bardzo wyrafinowany. To był koniec szkoły podstawowej, bo potem w gimnazjum jego rodzice się przenieśli do Tarnowa i kontakt się osłabił. Ale cośmy robili, kupowaliśmy sobie w sklepie takie wycinanki, teraz tego chyba nie ma, byli żołnierze rozmaici wydrukowani i trzeba było sobie nożyczkami tych żołnierzy wycinać. No i myśmy to z naszych oszczędności kupowali, i sobie robiliśmy prywatne armie. Różne pułki były, ale to musieli być żołnierze wycinani, nie ołowiani. I myśmy sobie robili wojny ze sobą, z tym, że te wojny były wedle z góry ustalonych reguł. To się robiło w ten sposób, że ustawialiśmy tych żołnierzy, on miał swoje państwo, ja miałem swoje państwo, no i była wojna. Brało się kostkę do gry, ja rzucam, powiedzmy wypada mi 3, on rzuca wypada mu 5, to on wygrywa, to ten żołnierz odpada, jest zabity.

**MF: Czyli taka walka bez walki trochę, taka bardzo humanitarna wojna.**

MH: No powiedzmy taka humanitarna wojna, zabijaliśmy tylko kostką. Kto miał więcej, to wygrywał, a jak różnica na kostce była więcej niż trzy, to szedł do niewoli. I te wojny trwały dość długo, dwie, trzy godziny, ileśmy mieli czasu. Pamiętam, że u Marka raz był remont w mieszkaniu, jeden pokój był bez mebli, i tam dość długo taki stan trwał, to myśmy tych żołnierzy tam zostawiali i na drugi dzień dalej! Ale żeby zachować ciągłość, to myśmy pisali historię tych wojen w zeszycie. I wymyślaliśmy, on miał jakiegoś dowódcę, ja jakiegoś dowódcę, wymyślaliśmy o co ta wojna jest, i wspólnie pisaliśmy, ja swoją część kroniki, on w tym samym zeszycie swoją część kroniki.

**MF: Czyli z różnych perspektyw, przeciwników.**

MH: Tak. I tych zeszytów się nazbierało…a potem jak przeprowadzaliśmy się do Tarnowa, to gdzieś te zeszyty na strychu wygrzebałem, a potem one zniknęły. Szkoda że ich nie ma, ale ich nie ma. To trwało długo i to taka inteligentna zabawa była, i nawet doszło do tego żeśmy fałszowali historię.

**MF: To znaczy?**

MH: To znaczy, był tam dowódca, taki żołnierz specjalnie rysowany. U mnie w rodzinie ładnie rysowała Hania, to czasem mi rysowała takich dowódców. Marek też miał swoich. No i był dowódca, i on się nazywał Napoleon, ale potem zdobyłem ładniejszego dowódcę, którego też chciałem nazwać Napoleon, ale w historii już było napisane, że Napoleon inne wojny prowadził, więc fałszowało się historię wcześniejszą. Z Markiem razem żeśmy fałszowali, i tam gdzie był Napoleon to myśmy skreślali i pisali, że Leon, a ten nowy był Napoleon. Więc fałszowanie historii, tkwi w żyłach człowieka!

**MF: Ale myślę o tej kostce do gry..., czy to były też początki księdza zainteresowania *przypadkiem*...?**

MH: Nie, tak głęboko to to nie sięgało. To było do celów praktycznych, żeby było jakieś w miarę sprawiedliwe rozstrzygnięcie. Bardzo dużą rolę odgrywały też książki, wśród moich kolegów tak samo. Trzeba pamiętać, nie było żadnej telewizji, żadnych internetów, telewizja dopiero zaczęła wchodzić jak byłem przed maturą. Natomiast książki wyrywaliśmy sobie z kolegami. Jak jakaś książka ciekawa była, to się ją pożyczało, i wszyscy w klasie czytali. Nawet czasem na godzinach, pod ławką. No oczywiście książki przygodowe, jakieś takie kryminały dla młodzieży, rozmaite książki. Była też księgarnia, a raczej sklep z książkami w Mościcach, teraz tam jest rondo, to które idzie na Kapro, a wtedy tam było po prostu skrzyżowanie dróg. I na tym skrzyżowaniu po lewej stronie, jak się patrzy w stronę zachodnią, było kilka domków. Pierwszy domek był taki mniejszy i tam był sklep spożywczy, prywatny, taka pani prowadziła, już nie pamiętam jak ona się nazywała, starsza pani, bardzo miła. I tam się kupowało czasem jakieś cukierki, coś takiego. Potem oczywiście to zlikwidowali, bo to była prywatna inicjatywa. Obok był fryzjer, do którego się chodziło, a obok była właśnie księgarnia, taki z cegły domek i nieduża księgarnia, i tam można było czasem ciekawe książki dostać. Tośmy też tam często bywali. No było też kino, nazywało się Kino Azot, do tego kina to się chodziło jak jakiś nowy ciekawy film był. Tak wyglądało życie towarzyskie młodzieży w latach pięćdziesiątych. Jeszcze harcerstwo trzeba nadmienić, bo to odgrywało dużą rolę. Z początku, po wojnie, harcerstwo miało te tradycje jeszcze przedwojenne, to było ZHP, było niezależnie od szkoły. Była tzw. harcówka, ta harcówka to była obecna Willa Kwiatkowskiego, tam chodziliśmy na zbiórki. Harcerze organizowali jakieś podchody, kiedyś były podchody na górze Marcina, w nocy się odbywały, trzeba było tam identyfikować jakieś wcześniej ustalone tajemne znaki i tak dalej. No różne rzeczy się działy. Takie ciekawe to harcerstwo było i ono miało tradycje takie bardzo patriotyczne. Mianowicie, jak wiadomo w Mościcach, był dość rozwinięty ruch oporu w czasie wojny i wielu tych partyzantów młodych zginęło, ale niektórzy przeżyli, i oni działali w harcerstwie. Nasz drużynowy był takim dawnym partyzantem. A potem już jak zacząłem chodzić do szkoły średniej, no to państwo położyło rękę na tym harcerstwie, tamto zostało rozwiązane, a zostało założone nowe, takie już pod kontrolą komunistyczną i ono miało być ściśle związane ze szkołą. Ja pamiętam pierwszą zbiórkę tego nowego harcerstwa, odbywała się tak, że już nie w żadnej harcówce, tylko w szkole po lekcjach zostaliśmy, no i przyszedł jakiś nowy człowiek, który nas instruował co to będzie i tak dalej. Myśmy siedzieli w ławkach i słuchali tylko biernie, no i zorientowaliśmy się szybko, chłopaki były zdyscyplinowane i jednomyślne, jak tylko się zbiórka skończyła, popatrzyliśmy na siebie nawzajem i nikt więcej na następne zebranie nie przyszedł. I skończyło się harcerstwo wtedy.

**MF: Czyli dobrych wzorców nie da się zafałszować, o ile historię się da, to dobrych wzorców nie da się wymazać.**

MH:Tak. Nie da się.

**MF: Księże profesorze, a bohaterowie dzieciństwa? Myślę o nauczycielach, sąsiadach...?**

MH: Nauczycieli mieliśmy bardzo dobrych, i oni na pewno byli jakimiś wzorcowymi dla nas ludźmi. W szkole podstawowej opiekunem naszej klasy się był Pan Strada, bardzo miły człowiek jeszcze potem, już po skończeniu szkoły, on mieszkał później w Tarnowie, utrzymywałem z nim kontakt trochę, spotykałem się, wymienialiśmy zdania. Bardzo miły człowiek i też on odbił się na pewno naszej paczce kolegów. W szkole średniej dużo było profesorów takich, to byli jeszcze profesorowie sprzed wojny, oni się bardzo różnili od tych późniejszych, którzy już też przychodzili pod koniec, ale różnicę tośmy widzieli ogromną, i w wykształceniu, i w podejściu. Ci przedwojenni byli dla nas wzorami. Więc wspomniany profesor Zasada od polskiego, jeszcze ze szkoły powszechnej takim człowiekiem-wzorem, to był profesor Kasprzyk, uczył chemii i był potem wychowawcą naszej klasy, człowiek z poczuciem humoru. To była cała rodzina Kasprzyków, którzy uczyli, jego żona Pani Kasprzykowa uczyła matematyki, i córka Ania Kasprzykówna uczyła matematyki w szkole średniej już. To były takie postacie, które rzeczywiście się pamięta. Byli jeszcze inni, był profesor Fenc, który uczył biologii, też taki człowiek przedwojenny. Był profesor Padlewski, duży, wielki, z basowym głosem, a bardzo dobroduszny człowiek. I jak mówię, ten kontrast między tymi profesorami przedwojennymi i potem, tymi młodszymi, którzy potem przychodzili, był bardzo duży, i to wszyscy zauważali. Tamci już nie mieli takiego autorytetu.

**MF: Jaki klimat domu rodzinnego ksiądz profesor pamięta? I jakim mógłby się podzielić? Bo to był dom otwarty na świat, na różne dziedziny nauki i sztuki, ale czy była na przykład dyscyplina, jakaś twarda ręka?**

MH: Była dyscyplina, tak, ojciec lubił trzymać dyscyplinę, mama zawsze była tym czynnikiem łagodzącym. Także to była dość dobra kombinacja. Ojciec był człowiekiem bardzo dobrym, takim pomagającym ludziom, otwartym, ale w domu lubił żeby był porządek, i myśmy ojca słuchali, także nie musiał się wysilać za bardzo, krzyczeć czy coś. Jego zdanie było ostateczne. Mama była tą stroną taką łagodzącą, dobrą, zresztą mamę bardzo wszyscy lubili. Już potem, jak mieszkaliśmy w Tarnowie, ja mieszkałem z mamą wtedy, to wszyscy moi koledzy, księża przychodzili i wszyscy moją mamę wspominają do dziś, jako taką właśnie miłą, otwartą, trochę „Martę usługującą”, ale też biorącą udział w różnych dyskusjach. Bardzo dobrym człowiekiem była.

**MF: A te codzienne msze święte rano, bo to tak było u księdza profesora w domu, prawda? Mościczanie to wspominają, że szliście wszyscy pod rękę do kościoła. To nie były łatwe czasy do takiego otwartego manifestowania wiary, chociaż w przypadku księdza rodziny przecież to nie była manifestacja, tylko wykonanie jakiejś powinności, tak?**

MH: Tak, ale codziennie wszyscy nie chodzili, to znaczy dość często, ale nie codziennie. Codziennie w miarę możności, jak była zdrowa, to chodziła babcia. Babcia to też był ciekawy człowiek. Też była z nami na Syberii i była taką absolutną częścią rodziny. Była bardzo ciekawym, inteligentnym i takim z dowcipem człowiekiem. Ona prowadziła kuchnię w Mościach, dopóki mogła, potem zachorowała i już ostatnie lata życia spędziła w łóżku. Zajmowała taki najmniejszy pokoik, który przed wojną był pokojem służącej, przy kuchni taki mały pokoik. Myśmy chcieli babcię wielokrotnie wyprowadzić z tego pokoju do większego, ale zawsze wracała, bo tam jej było najlepiej. I jak babcia już leżała, to życie koncentrowało się u babci w pokoju. Wszyscy tam przychodzili, siadali i dyskutowali, i w ogóle było fajnie. Doktor Nowicki przychodził do babci ją leczyć, zawsze sobie pogadali i też takie dowcipy sobie robili ze swojego zdrowia. Babcia była bardzo takim scalającym człowiekiem. I jeszcze o jednej siostrze muszę wspomnieć, która była nie rodzoną siostrą, tylko cioteczną. Tola, Antonina. Ona na nazwisko miała Strugalewicz, to była córka brata mamy. Jej rodzice mieszkali gdzieś daleko, dzisiaj to jest już Białoruś, tam na dalekiej wsi. I jak Tola osiągnęła wiek szkolny, to po prostu rodzice moi ją wzięli do Tarnowa i chodziła z Hanią, ona była równolatką z Hanią, chodziła do tej samej szkoły, do Urszulanek. Ale Tola miała kłopoty z chodzeniem. Jak wybuchła wojna, to była z nami i też została wywieziona na Sybir i ona po prostu już została moją siostrą. Jej rodzice w czasie wojny właściwie zniknęli, ojciec nigdy się nie odnalazł, prawdopodobnie gdzieś w Katyniu zginął, lub w jakimś innym rosyjskim obozie, matka po wojnie się odnalazła, ale wkrótce umarła. I Tola była po prostu moją nową, dodatkową siostrą, z tym, że moi rodzice bardzo się nią opiekowali. Po powrocie z Rosji miała kilka operacji na te nogi, ale to nie pomogło, ona coraz gorzej chodziła, coraz gorzej i potem już w ogóle nie chodziła. To też taki przykład, że rodzice ją przygarnęli. I po wojnie, zdobyłem jeszcze jedną siostrę. Mianowicie mieliśmy jakąś dalszą rodzinę, która mieszkała pod Tarnowem. Oni mieli

dwór w Otfinowie, ten dwór się nazywał Diament, i tam był dość duży majątek, zarządzała nim ciotka Wanda. Czasem tam jeździliśmy na wakacje, do tego dworu i wnuczka (nie będę opowiadał historii bo to zupełnie inna historia) ale wnuczka tej ciotki Wandy - Wandunia - była równolatką Toli i Hani, i one razem się bawiły czasem. Ale w czasie wojny ta ciotka była w ruchu oporu, i tam u niej był jakiś punkt, i ktoś doniósł i ona wylądowała w Oświęcimiu. I tam zginęła. I ta Wandunia,

kilkunastoletnia w czasie wojny, została sama. Przygarnęli ją sąsiedzi z sąsiedniego majątku, ale potem po wojnie te majątki rozparcelowano, i co się stało? Tę Wandunię, koło piętnastu lat musiała mieć, ubowcy nasi wsadzili do jeepa, i wywieźli do Tarnowa, i na ulicy Starodąbrowskiej wysadzili ją i pojechali, zostawiwszy ją bez niczego. Jakaś kobieta się nią zaopiekowała, ja to wiem wszystko od samej Wanduni, ona jeszcze żyje ma 92 lata, we Wrocławiu mieszka. Krótko mówiąc ona wylądowała potem w Krakowie, i żeby się utrzymać to pracowała jako sprzedawczyni w jakiejś cukierni, taka młoda dziewczynka. I jak myśmy wrócili z Syberii, i jeszcze mieszkali w Krakowie, jeszcze nie przyjechaliśmy do Mościc, to ojciec się dowiedział, że ona jest w Krakowie, bez opieki i pracuje. Poszedł do tej cukierni, to było na ulicy Floriańskiej, i po prostu ją zabrał do siebie i ona mieszkała z nami w Mościcach. Chodziła tu do szkoły, była nową siostrą.

**MF: Czyli: Hania, Basia, Tola i Wandunia?**

MH: I jeszcze dwie siostry, które były z pierwszej żony mojego ojca. Ojciec miał pierwszą żonę, która zmarła, potem się dopiero z mamą moją ożenił. Ta pierwsza była z domu Kaden, i miał dwie córki: Kasię i Marysię. One też z nami były na Syberii, tylko że pod koniec wojny zostały zmobilizowane do wojska, do tej armii kościuszkowskiej. Chłopaków już nie było, bo oni prawie wszyscy wyszli z Andersem, i wtedy dziewczyny brali. Kasia i Marysia zostały wzięte do wojska, i doszły do Berlina. Po wojnie dopiero one się z nami złączyły, tylko że Marysia już na Śląsku pracowała po demobilizacji, a Kasia zapisała się na studia, Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, potem wyszła za mąż i mieszkała w Trójmieście nad morzem. Obydwie już nie żyją. Zresztą wszystkie te moje siostry już teraz nie żyją, ja zostałem sam z całego rodzeństwa.

**MF: A jak ksiądz profesor wspomina Mościce? Jakby zamknąć oczy i mieć taki obraz tych Mościc młodego Michała Hellera, jak one wyglądały? Co księdzu się podobało w tym miejscu? Czy ta koncepcja miasta idealnego, czy to była przyroda, a może coś zupełnie innego?**

MH: Trudno powiedzieć. Chyba najważniejsze to jednak było środowisko. Krajobraz Mościc był częścią tego środowiska, to znaczy środowisko było osadzone w tym krajobrazie. Mościce urzekły nas swoją zielonością. Każda ulica była wysadzana drzewami i te ulice w tej części Mościc nazywały się od tych drzew, więc myśmy mieszkali na Jarzębinowej, była Czerwonych Klonów, Białych Klonów, Lipowa, i tak dalej. I właściwie poza tą częścią, tą właśnie bliższą administracji, to prawnie nic już nie było. Z drugiej strony torów było kilka willi prywatnych i koniec, i pola. IV Gimnazjum stało w absolutnych polach, w pustce. No więc te Mościce to mi się kojarzą właśnie z tymi ulicami wysadzanymi drzewami, duże ogrody, wille w ogrodach… No takie trochę idealne miasto. I to też Hani się bardzo podobało, właśnie ta architektura Mościc po prostu. One teraz się bardzo zmieniły, teraz się powiększyły i tak trochę się upodobniły do innych osiedli, a wtedy było to trochę inaczej.

**MF: Ale dorastał ksiądz w pięknie. Ja myślę o takich matrycach które się gdzieś w głowie odkładają. Jesteście w tej willi, to jest piękny obiekt, jest ogród, czy to nie jest tak, że to nawet nieświadomie, gdzieś tam w głowie coś układa?**

MH: No na pewno, na pewno to się odbija, i willa, i ogród. Ogród był częścią tych naszych zabaw, w lecie zwłaszcza z kolegami. Rozmaite przygody, jak mój kolega na przykład wpadł raz do sadzawki i się wykąpał w ubraniu, bo się rozpędził za bardzo.

Niektórzy moi koledzy wieczór, w nocy przychodzili na jabłka, czy na maliny. Chociaż w dzień mogli przyjść i narwać sobie ile chcieli, ale w nocy to była zawsze jakaś taka atrakcja, że takie trochę…

**MF: Na grandę!**

MH: Tak. Na grandę. Także różne rzeczy były.

**MF: Czyli to był ogród nie tylko z drzewami ozdobnymi?**

MH: Nie, nie, to był ogród taki, że tam mieszkał dyrektor niemiecki, więc on był taki zapięty na ostatni guzik. Z tym, że jak myśmy przyjechali, to już był troszeczkę zaniedbany, zarośnięty, ale były ścieżki, na około domu była ścieżka, i do ulicy, do furtki była ścieżka. One były żwirem wysypane, takim białym, przeźroczystym kamieniem i to długo się utrzymywało. Trzeba było tam chwasty z tego wyrywać, bo to wyrastało pomiędzy, trochę czasem dowozić jakiegoś nowego żwiru, a potem to powoli znikło. Od strony ogrodu była weranda, taka z kolumnami, i schody do ogrodu, i potem była ta ścieżka żwirowana, i potem był ogromy trawnik, taki gazon. W środku była sadzawka, w której rosły nenufary i mała fontanna. A potem się zaczynał ogród warzywny, było kilka jabłonek, no i można tam było truskawki zasadzić, co tam się chciało. Od strony willi Kwiatkowskiego, były maliny i jakieś inne drzewa. I jeszcze był taki - do dzisiaj tam stoi - taki domek gospodarczy mały. Za tym warzywnym ogrodem rozpoczynał się lasek, dzisiaj to jest park. W każdym razie tam, gdzie ja mówię o tym gazonie, o tej fontannie, to teraz tam chyba jest Biedronka.

**MF: Trochę się zmieniło...**

MH: Trochę się zmieniło. I może, na koniec, opowiem jak opuściliśmy Mościce. Mianowicie ja zostałem wyświęcony na księdza, ojciec w związku z tym miał kłopoty, bo to było bardzo nieprawomyślne. I potem stwierdzono, że nasz dom musi iść do remontu, i my się musimy wyprowadzić z tego domu…

**MF: Czyli pretekst?**

MH: Do dziś nie wiem czy to był pretekst, czy naprawdę. Pewnie część było pretekstu, że dom musi iść do remontu, i mieliśmy do wyboru albo dostaniemy mieszkanie zastępcze w jakichś barakach, albo w nowo wybudowanym bloku w Tarnowie, już na stałe. Rodzice po zastanowieniu wybrali blok w Tarnowie, dlatego że uważali, że jak się wprowadzimy do tych baraków, to już tak zostanie na amen. No bo już wiedzieli, że to jest trochę na złość. I wybrali przeniesienie się do

Tarnowa, ale ludzie z fabryki, to szli ojcu na rękę. Mogliśmy sobie wybrać mieszkanie w tym bloku, w którym obecnie mieszkam, na pierwszym piętrze. Właśnie żeby nie było na parterze i żeby nie było wysoko, ze względu na Tolę, bo ona nie mogła wychodzić. No i przenieśliśmy się tam, willa, ta nasza - którą chyba do dziś niektórzy nazywają Hellerówką - 3 lata stała pusta, nikt jej nie remontował. Została zapuszczona kompletnie, parkiety zostały rozkradzione, piece kaflowe zostały rozkradzione, i dopiero po trzech latach przystąpiono do jej remontu, a nam nakazano w ciągu dwóch tygodni się wyprowadzić. No i potem już po remoncie, to podzielono tę willę na cztery mieszkania, cztery rodziny tam mieszkały. A myśmy się wprowadzili do tego mieszkania, w którym obecnie mieszkam, to był rok 69, bo ja w tym roku robiłem w Lublinie habilitację, i w tym czasie, kiedy była habilitacja, musieliśmy się przeprowadzać. I pamiętam, że zrobiłem samochodem, marki Zastawa, dziewięć rund. Pełny samochód był wyładowany papierami, które ze strychu były wzięte i na makulaturę to odwoziłem. No i przenieśliśmy się. Większość mebli została rozdana wśród znajomych, albo na przechowanie, albo na stałe, no bo z kilku pokoi, to się nie zmieściło do małego mieszkania blokowego. Ale to co zostało, zostało przeniesione. Te meble zostały złożone na środku mieszkania, tam są trzy pokoiki malutkie. I taka kupa tych mebli była przykryta jakimś kocem na jakiś czas. A przy ścianach było zostawione miejsce, żeby przejść. No i pamiętam mamę, która siadła na jakimś krześle i patrzyła na to, co z tym teraz zrobić? Trzeba jakoś przygotować się do nocy, żeby się gdzieś przespać. No i to był taki szok, przejście od tej willi do bloku. Czyli dobre ramy; to oczarowanie willą, gdyśmy przyjechali i potem ten przeskok do bloku. Nieporównywalne z Syberią, ale też taka wielka degradacja, gdy chodzi o komfort życiowy. A teraz z tego mojego mieszkania jestem bardzo zadowolony, mieszkam sobie dość wygodnie, sam, w tych trzech pokojach, bo już zostałem całkowicie sam. I tylko też mi już za ciasno, bo nie mam gdzie książek kłaść. Oczywiście posługuję się tabletem, i mam tam całą bibliotekę, zwłaszcza jak muszę gdzieś wyjeżdżać, to jest wygodne, ale jednak książka to jest książka.

**MF: Książę profesorze, ogromnie dziękuję!**

MH: Ja również dziękuję, było miło i sobie sam odświeżyłem różne rzeczy, o których już nawet niekoniecznie pamiętałem.

**MF: Ale Mościce ma Ksiądz w sercu?**

MH: Mam. Tak.